

Łukasz Jasina: Kino a zmierzch imperium

Rozwiązanie samego problemu imperium Brytyjczycy rozpoznali chyba najlepiej z mocarstw, które imperia posiadały. Pozostało jednak pytanie, co uczynić z jego spuścizną, również tą kulturową. A cóż lepiej nadaje się do racjonalizowania (by nie rzec: manipulowania) historii niż dobre kino historyczne? – pisze Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Disraeli. Imperium (nie)wyobrażone”.

Brytania wygrywa wojnę o historię w filmie – nawet gdy przegrywa ją w realnym świecie.

Prawie dwie dekady temu zajmowałem się przez cztery lata najważniejszym brytyjskim reżyserem w historii (to moja opinia, podzielana najwyraźniej przez Brytyjską Akademię Filmową, skoro nazwała jego imieniem coroczną nagrodę dla najlepszego brytyjskiego reżysera) – Davidem Leanem. Udało mi się napisać i obronić doktorat o tym, jak prezentował on upadek brytyjskiego imperium w swoich filmach fabularnych. Lean był najważniejszy – ale nie był jedyny. Brytyjczycy jak mało kto chętnie zajmują się samymi sobą, a więc i swoją historią. Co więcej, podobnie jak ich młodsi bracia z Ameryki, przekonali sporą część świata, że też powinna się tym interesować.

Zresztą zaczęli to robić bardzo szybko i tak się składa, że wykorzystali w tym celu głównego bohatera niniejszego numeru „Teologii Politycznej Co Tydzień”, Benjamin Disraeliego. Był on zresztą (obok swojego zasadniczego rywala – Wiliama Gladstone’a) podstawowym bohaterem narracji o kształtujących imperium czasach wiktoriańskich. Opowieść tę kierowano również na rynek amerykański, jako że opowiadała o czasach wzajemnej przyjaźni, a nie, na przykład, o konfliktach z XVIII wieku i jako taka była dla Amerykanów strawniejsza.

Przeczytaj również: Benjamin Disraeli a brytyjski romantyzm

Jednym z pierwszych znaczących filmów dźwiękowych był więc „Disraeli” (1929) – czyli biografia słynnego brytyjskiego premiera. W roli głównej obsadzono George’a Arlissa – cenionego aktora brytyjskiego. Dodajmy, że w chwili premiery czasy Disraeliego były równie bliskie, jak dla nas epoka gierkowska. Ten udany start zapewnił Disraeliemu stałą obecność w światowym kinie i pop-kulturze na kilkadziesiąt lat. W ogrywaniu roli premiera wyspecjalizował się wręcz słynny aktor sir John Gielgud. Disraeli pojawiał się regularnie na ekranie aż do lat siedemdziesiątych, gdy Brytyjczycy zaczęli wprowadzać do światowej kinematografii premiera z innych czasów – Winstona Churchilla, do którego pod koniec XX wieku doszłusowała także Margaret Thatcher. Próbowano wylansować na trzeciego także Tony’ego Blaira, ten jednak zupełnie się w kinie nie przyjął.

Co zrobić z Imperium?

Rozwiązanie samego problemu imperium Brytyjczycy rozpoznali chyba najlepiej z mocarstw, które imperia posiadały. Pozostało jednak pytanie, co uczynić z jego spuścizną, również tą kulturową. A cóż lepiej nadaje się do racjonalizowania (by nie rzec: manipulowania) historii niż dobre kino historyczne? Gdy do tego ma się jeszcze Amerykanów i ich hollywoodzkie możliwości oraz chęć do angażowania brytyjskich aktorów i eksploatawania tematów... Grzechem byłoby nie skorzystać.

Najpierw, jak już wspomniałem, były to filmy głoszące wprost glorię Imperium. Filmowy establishment miał też oko na brytyjską literaturę – zarówno współczesną, jak i klasykę. W 1948 roku adaptacja „Hamleta” w reżyserii Lawrence’a Oliviera została pierwszym filmem zrealizowanym poza Hollywood, który otrzymał Oscara w kategorii „najlepszy film”. W okresie schyłku globalnej potęgi Wielkiej Brytanii, czyli pomiędzy końcem II Wojny Światowej a połową lat sześćdziesiątych, za amerykańskie pieniądze powstał cały szereg filmów pokazujących skomplikowanie brytyjskiej historii od „55 dni w Pekinie” (1961) o powstaniu bokserów czy „Chartumu” (1966) o powstaniu Mahdiego, a także, co najważniejsze, dzieła wspomnianego Davida Leana: „Mostu na rzece Kwai” (1957) – klasyki kina obozowego, opowiadającego o losach jeńców alianckich w Azji Południowo-Wschodniej, wziętych do niewoli przez Japończyków po upadku Singapuru; „Lawrence’a z Arabii” (1962) – jednego z najbardziej epickich filmów w dziejach kina, opowiadającego o kształtowaniu się kolonialnego Bliskiego Wschodu czy „Córki Ryana” (1971) o końcu brytyjskiej władzy w Irlandii. Każdy z tych filmów, mimo udziału

amerykańskich producentów, *de facto* zatopiony był w brytyjskich dyskusjach na temat spuścizny Imperium. Dawały Brytyjczykom szansę na wytłumaczenie i samokrytykę.

**Zostań mecenasem „Teologii Politycznej Co Tydzień”, jedyne-
tygodnika filozoficznego w Polsce.**

Dziękujemy za wsparcie!

Pod koniec lat siedemdziesiątych na skutek zmiany pokoleniowej zaistniała większa chęć do rozliczenia kolonialnej przeszłości Imperium w Indiach. Indie rosły na znaczeniu i zaczynały budzić coraz większe zainteresowanie. Dotąd służyły na ogół jako tło opowieści przygodowych, a dzieła takie jak „Człowiek, który chciał być królem” (1975) – adaptacja prozy Kiplinga w reżyserii Johna Hustona – można wręcz uznać za wyjątek. Stosunek brytyjskiej sztuki i literatury do Indii w ciągu pierwszego postkolonialnego trzydziestolecia wymaga szerszych badań. Największą rolę odegrały tu prawdopodobnie elity ukształtowane w trakcie istnienia Imperium. Należy jednak postawić pytanie, czy postawa tych elit była bliższa poglądom „barda imperializmu” i wielbiciela „brzemienia białego człowieka” – Kiplinga, czy demaskatorskiej postawie E. M. Forstera, wywodzącego się z literackiej tradycji Oskara Wilde’a, który uważał Kiplinga za barbarzyńcę. Zmiana jednak nastąpiła – lata osiemdziesiąte to niezwykle dla tej tematyki okres. Zainaugurowała ten cykl skromna realizacja telewizyjna „Staying On” (1980) w reżyserii Silvia Narizzano, wyprodukowana przez stację telewizyjną Granada. Była to dość sentymentalna opowieść o emerytowanym pułkowniku Truskerze i jego żonie Lucy, którzy po 1948 roku zdecydowali się pozostać w Indiach. W 1982 roku Lean realizuje „Podróż do Indii” na podstawie powieści Forstera. W tym samym czasie w indyjskich plenerach powstają inne, najwybitniejsze moim zdaniem dzieła. Pierwszym z nich jest „Gandhi”

(1982) Richarda Attenborough. Innym jest serial „Klejnot w koronie”, adaptacja cyklu powieściowego Paula Scotta. Każdy z nich to opowieść o kryzysie brytyjskiego władztwa w Indiach.

Konserwatywna i walcząca o swój prestiż Brytania lat osiemdziesiątych, walczyła także i z zagrożeniami bardziej konkretnymi – terroryzmem IRA. Konflikt w Ulsterze był źródłem kolejnej fali filmów rozliczeniowych, często realizowana w Wielkiej Brytanii przez pozbawionych bariery językowej twórców irlandzkich. Do tej pory każdy kinoman pamięta choćby o „W imię ojca” (1993) Jima Sheridana.

Ostatnim z ówczesnych cykli rozliczeniowych były tzw. „heritage films”. Zalicza się do nich adaptacje dzieł Forstera i innych, dokonywane m.in. przez Jamesa Ivory’ego, w tym „Pokój z widokiem”, „Maurice”, „Okруchy dnia” i „Howards End”. Ten cykl, nim się skomercjalizował, wywarł wielki wpływ na idealizację brytyjskiej przeszłości.

W kinie Imperium trwa do dziś. Bez przełomów od trzech dekad.

Łukasz Jasina

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[524]: „Disraeli. Imperium (nie)wyobrażone”**

